

Na tej wyspie nie ma prawa.
Tutaj załatwiamy wszystko między sobą.

PETER MAY

WYSPA
POWROTÓW



PROLOG

Patrzy na kamienie pokrywające zbocze wzgórza i od razu może się zorientować, że to ścieżka, którą układały niegdyś pracowite dłonie. Jest teraz zarośnięta, z płytkim rowem po boku. Prześladowany dziwnym wrażeniem, że kroczy po własnych śladach, schodzi ostrożnie ku pozostałościom wioski. A jednak nigdy wcześniej tu nie był.

Wyżej, wzdłuż krawędzi nagiego wzgórza, ciągnie się zarys zwalonego kamiennego muru. A dalej, o czym wie, leży półksiężyc srebrnego piasku, który prowadzi ku cmentarzowi i kamiennym blokom na wzniesieniu. Niżej, w torfowej glebie i źdźbłach wysokiej trawy, która wygina się i pochyla w powiewach wiatru, można z trudem dostrzec fundamenty czarnych domów. Ostatni ślad po ścianach otulających rodziny, które żyły tu i umierały.

Podąża ścieżką biegnącą między nimi, w dół, ku plaży, gdzie w spienionych i plujących białą falach niknie nierówna linia topornie obrobionych kamieni, jedynej pozostałości po dawno zapomnianym wysiłku, jakiego wymagało zbudowanie nabrzeża.

Kiedyś stało tu dziesięć, może dwanaście czarnych domów. Koliste strzechy okrywały grube kamienne ściany, przepuszczając przez szczeliny i szpary dym torfowy,

porywany przez lodowate zimowe burze. Zatrzymuje się pośrodku wioski, w samym jej sercu, i wyobraża sobie miejsce, gdzie w kałuży krwi leżał stary Calum z rozplataną czaszką, pozbawiony czekających go lat i heroizmu przez jedno celne uderzenie. Przykłęka, by dotknąć ziemi, i odczuwa bezpośredni związek z historią, sprzymierza się z duchami, bo sam jest duchem nawiedzającym własną przeszłość. A jednak nie własną.

Zamyka oczy i wiedząc, że tu właśnie wszystko się zaczęło, w innym czasie, w życiu kogoś innego, wyobraża sobie, jak to było, jak to wyglądało.

ROZDZIAŁ 1

Drzwi frontowe domu letniskowego, tuż za siatką ochronną na ganku, otwierały się wprost na salon. Był to duży pokój na parterze domu zamordowanego człowieka, przeznaczony dla gości, którzy nigdy się nie zjawili.

Wąski korytarz u dołu schodów prowadził do łazienki i małej sypialni na tyłach. Był tam kominek w kamiennym obramowaniu. Większość przestrzeni zajmowały ciemne i ciężkie meble. Sime pomyślał, że choć dom został przebudowany, sprzęty się nie zmieniły. Jakby cofnął się w czasie – stare, rozłożyste fotele z pokrowcami, wytarte chodniczki na nierównych, lecz świeżo polakierowanych podłogach. Na ścianach obrazy olejne w ciężkich ramach, każdy skrawek wolnego miejsca pochłonięty przez bibeloty i oprawione zdjęcia rodzinne. Nawet pachniało tu starością, co przypominało mu dom babki w Scotstown.

Blanc poprowadził kable do sypialni na tyłach, gdzie ustawił monitory, a Sime umieścił dwie kamery na statywach, skierowane na fotel obrócony do okna; siedząca na nim świeżo upieczona wdowa będzie odpowiednio oświetlona. Jego krzesło stało tyłem do szyby; wiedział, że sam mając twarz pograżoną w cieniu, dostrzeże każde drgnienie na obliczu kobiety.

Posłyszał skrzypienie desek nad głową i zobaczył policjantkę, która zeszła z góry i stanęła w kręgu światła. Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

– Co się dzieje? – spytała.

Sime wyjaśnił, że przygotowują się do przesłuchania.

– Rozumiem, że jest na górze – powiedział, a funkcjonariuszka skinęła głową. – Więc przyślij ją na dół.

Stał przez chwilę przy oknie, przytrzymując firankę; przypomniał sobie to, co powiedział detektyw sierżant – sergeant enquêteur – który przywitał ich w porcie, jedynym na wyspie. „Wygląda, że ona to zrobiła”. Dostrzegł w szybie odbicie swojej pociągłej twarzy, na którą padały promienie słońca; zobaczył znajome rysy pod gęstymi jasnymi włosami, zmęczenie w oczach, cienie w zapadniętych policzkach i natychmiast skupił spojrzenie na oceanie. Dłuższe żdźbła trawy wzdłuż krawędzi klifu pochylały się i przyginały w porywach wiatru, od południowego zachodu napływały grzywacze, a w dali kłębiły się na horyzoncie złowieszcze ciemne chmury.

Obrócił głowę na dźwięk skrzypiących schodów i przez chwilę, która zdawała się wiecznością, świat tkwił w bezruchu.

Stała na górnym stopniu, ciemne włosy, zebrane z tyłu, odsłaniały delikatną twarz. Błada skóra była poplamiona zaschniętą krwią. Koszula nocna, też nosząca ślady krwi, kryła się częściowo pod kocem zarzuconym na ramiona. Widział, że kobieta jest wysoka i że trzyma się prosto, jakby uważała, że duma nie pozwala jej okazywać przygnębienia z powodu tego, co się stało.

Jej oczy odznaczały się ciemnym, niemal kryształowym błękitem, źrenice miały ciemniejsze obwódki. Smutne oczy, pełne tragedii. Widział, że są podkrążone z niewyspania; jakby ktoś przesunął po skórze palcami pobrudzonymi

węgłem drzewnym.

Słyszał powolne tykanie starego zegara wahadłowego na gzymsie kominka – tik-tak – i dostrzegał drobinki kurzu zastygłe w świetle wpadającym ukośnie przez okna. Zauważył, że poruszyła ustami, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Po chwili znowu drgnęły, formując słowa, które do niego nie dotarły, dopóki nie uświadomił sobie irytacji w jej głosie.

– Halo? Jest tam kto?

Jakby ktoś znowu włączył nagrywanie, a świat ponownie przyspieszył biegu, ale wrażenie niepokoju pozostało.

– Przepraszam. A pani to...?

Zauważył, że teraz to ona jest skonsternowana.

– Kirsty Cowell. Powiedziano mi, że chce mnie pan przesłuchać.

Nagle, w tym chwilowym zagubieniu, usłyszał samego siebie:

– Znam panią.

Zmarszczyła czoło.

– Nie wydaje mi się.

Ale on wiedział, że ją zna. Nie miał pojęcia, gdzie się spotkali, w jakich okolicznościach i kiedy. Żywił jednak niezachwianą pewnością. I to wrażenie, które nawiedziło go w samolocie, powróciło niemal z siłą ciosu.

ROZDZIAŁ 2

I

Trudno było uwierzyć, że zaledwie kilka godzin wcześniej leżał w swoim łóżku tysiąc kilometrów stąd, w Montrealu, zagrzebany w pościel, pocąc się pod przykryciem i marznąc w miejscach, gdzie był odsłonięty. Oczy miał pełne piasku, a gardło tak suche, że ledwie mógł przełykać.

Nie pamiętał, ile razy podczas tej długiej nocy spojrzął na zegarek elektroniczny na stoliku obok łóżka. Tak, wiedział, że to idiotyczne. Kiedy sen nie nadchodził, czas włókł się w bezlitosnym tempie gigantycznego żółwia. Śledzenie jego bolesnego upływu tylko pogłębiało frustrację i jeszcze bardziej zmniejszało prawdopodobieństwo, że zdoła zasnąć. Czuł w głębi oczu załazki migreny, jak każdej nocy; nasilało się to, w miarę jak zbliżał się ranek i zażycie środka przeciwbólowego, który posykiwał w szklance, gdy nadchodziła wreszcie pora, by wstać.

Przekręcając się na prawy bok, wyczuwał obok siebie puste miejsce, jak niemy wyrzut. Bezustanne przypomnienie porażki. Zimna nicość zamiast ciepła. Mógł rozłożyć się na całym łóżku, ogrzać je żarem swojego ciała, ale czuł się uwięziony po stronie, po której tak często leżał w kipiącym milczeniu po jednej z ich kłótni. Kłótni, których nigdy sam nie wszczynał, jak mu się zdawało. A jednak w ciągu tych

wszystkich bezsennych godzin ostatnich tygodni nawet w to zaczął wątpić. Ostre słowa rozbrzmiewały bez końca i wypełniały powolny, mroczny bieg czasu.

W końcu, dokładnie w chwili, gdy czuł, jak pogrąża się w ciemność, brutalnie go obudził przenikliwy dźwięk komórki na szafce nocnej. Naprawdę zasnął? Usiadł gwałtownie i spojrzął na zegar, serce waliło mu młotem, ale wciąż było wcześniej, parę minut po trzeciej. Wymacał w ciemności kontakt lampki i mrugając w jej ostrym blasku, chwycił telefon.

• • •

Jadąc ze swojego mieszkania nad rzeką w St Lambert, czasami podczas szczytu potrzebował nawet półtorej godziny, żeby przedostać się przez Pont Jacques Cartier na wyspę, innymi słowy Montreal City. O tej jednak porze potężnym, wspartym na łukowatych podporach mostem prowadzącym na Île Sainte Hélène posuwał się tylko wąski strumyczek samochodów przekraczających leniwe wody Rzeki Świętego Wawrzyńca.

Kiedy wyrosły wokół niego światła pustych wieżowców, skręcił na zjeździe i ruszył wzdłuż avenue de Lorimier, potem skierował się na północny wschód i wjechał w rue Ontario; w lusterku wstecznym widział ciemną sylwetkę Mount Royal dominującą nad panoramą miasta. Dotarcie na rue Parthenais 1701 trwało niespełna dwadzieścia minut.

Sûreté de Police mieściła się w trzynastopiętrowym wieżowcu po wschodniej stronie ulicy, z widokiem na most, stację telewizyjną i górę. Sime wjechał windą na czwarte piętro, gdzie znajdował się Division des enquêtes sur les crimes contre la personne. Zawsze go bawiło, że język francuski potrzebuje w tym wypadku dziewięciu słów, podczas gdy angielski tylko dwóch. Wydział zabójstw.

Kapitan Michel McIvir wracał do swojego gabinetu z kawą, więc Sime przyłączył się do niego i szli razem, mijając na korytarzu oprawione czarno-białe zdjęcia, które przedstawiały miejsca przestępstw z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. McIvir miał ledwie czterdziestkę na karku, był o kilka lat młodszy od Sime'a, ale emanował autorytetem; Sime wiedział, że nigdy mu pod tym względem nie dorówna. Kapitan spojrzał wnikliwie na sierżanta.

– Wyglądasz beznadziejnie.

Sime skrzywił się.

– Podniósł mnie pan na duchu.

– Wciąż kiepsko sypiasz?

Sime wzruszył ramionami, nie chcąc ujawniać rozmiarów swojego problemu.

– Czasami. – Zmienił czym prędzej temat. – No dobra, dlaczego tu jestem?

– Morderstwo na Wyspach Magdaleny, w Zatoce Świętego Wawrzyńca. – Kapitan posługiwał się francuską nazwą, Les Îles de la Madeleine. – Pierwsze od niepamiętnych czasów. Wysłałam tam ośmioosobową grupę.

– Ale dlaczego ja? Nie ma mnie w grafiku.

– Do zabójstwa doszło na 'Île d'entrée, Sime. Znanej miejscowym jako wyspa Entry. Ci, którzy zamieszkują archipelag, mówią w przeważającej części po francusku, ale na Entry gada się tylko po angielsku.

Sime skinął głową, rozumiejąc już, o co chodzi.

– Na lotnisku St Hubert czeka mały samolot. Na wyspy leci się jakieś trzy godziny. Chcę, żebyś to ty prowadził przesłuchania. Thomas Blanc zajmie się nagrywaniem. Porucznik Crozes ma dowodzić, sergent superviseur Lapointe będzie czuwał nad administracją i logistyką. – Kapitan zawahał się, co było dla niego nietypowe i nie uszło uwagi Sime'a.

– A kto się zajmie zbieraniem dowodów na miejscu zdarzenia? – Zabrzmiało to jak pytanie, ale znał odpowiedź.

McIvir zacisnął usta. Po chwili odparł:

– Marie-Ange.

II

Trzynastomiejscowy king air B100 był w powietrzu prawie trzy godziny, a przez ten czas ośmioro funkcjonariuszy wymieniło zaledwie kilka słów.

Sime siedział z przodu sam, zdając sobie doskonale sprawę ze wszystkiego, co odróżniało go od kolegów. Nie był stałym członkiem ich zespołu. Przydzielono go do niego tylko ze względów językowych. Pozostali mieli francuskie pochodzenie. Każdy mówił po angielsku, lepiej lub gorzej, ale żaden biegle. Rodzina Sime'a wywodziła się ze Szkocji. Językiem jego przodków, którzy przybyli do Kanady, był gaelicki. W ciągu kilku pokoleń rodzima mowa niemal wymarła, zastąpiona przez angielski. W latach siedemdziesiątych rząd Quebecu zdecydował, że francuski będzie językiem oficjalnym, co doprowadziło do masowego exodusu; pół miliona anglojęzycznych mieszkańców opuściło prowincję.

Ojciec Sime'a odmówił wyjazdu; powiedział, że jego prapradziadkowie wyrabiali dla siebie miejsce na tej ziemi i niech go diabli, jeśli pozwoli się stąd wyrzucić. I tak rodzina Mackenzie została; zaadaptowała się do nowego francuskojęzycznego świata, ale zachowała w domu swój język i tradycje. Sime miał za co dziękować ojcu. Posługiwał się równie dobrze francuskim jak angielskim. Teraz jednak, kiedy leciał na odległy archipelag, by uczestniczyć w śledztwie dotyczącym morderstwa, to właśnie odróżniało go

od innych. Coś, czego zawsze pragnął uniknąć.

Spojrzał przez okno i na wschodzie zobaczył na niebie pierwsze światło słońca. Poniżej widać było tylko ocean. Już jakiś czas temu zostawili za sobą pokryty drzewami półwysep Gaspé.

Z maleńkiego kokpitu wyłoniła się przygarbiona postać; był to główny detektyw sierżant – sergent superviseur – Jacques Lapointe, który trzymał w dłoni plik papierów. To on miał im wszystko zapewnić: zakwaterowanie, transport, środki techniczne. I to właśnie on miał potem przewieźć ciało ofiary do Montrealu w celu przeprowadzenia autopsji w piwnicy przy rue Parthenais 1701. Był starszym człowiekiem, dobrze po pięćdziesiątce, z artretycznymi dłońmi o dużych kłykciach i szczeciniastym czarnym wąsem poprządkowanym srebrzystymi pasemkami.

– Okay – zwrócił się do wszystkich podniesionym głosem ze względu na warkot silników. – Zarezerwowałem pokoje w Auberge Madeli na Île du Cap aux Meules. Na tej wyspie mieści się główny ośrodek administracyjny i stamtąd odplywa prom na Entry. Rejs trwa około godziny. – Zajrzał do notatek. – Lotnisko znajduje się na Havre aux Maisons, która, jak na to wszystko wskazuje, jest połączona z Cap aux Meules mostem. Tak czy inaczej, miejscowi gliniarze będą czekali na nas z minibusem. Wygląda na to, że zdążymy jeszcze złapać pierwszy prom.

– Chcesz powiedzieć, że popłynęliby bez nas? – Porucznik Daniel Crozes uniósł pytająco brew. Szef grupy miał niemal tyle samo lat co Sime, ale był wyższy i przystojniejszy. Jakimś cudem udawało mu się zachować opaleniznę, co nie było łatwe podczas długich zim w Quebecu. Sime nigdy nie mógł się zorientować, czy to dzięki butelce, czy solarium.

– Nigdy w życiu! – Lapointe uśmiechnął się szeroko. – To jedyny sposób, żeby przetransportować tam pojazd.

Uprzedziłem ich, że zatopię go, jeśli nie będzie na nas czekał. – Przechylił głowę na bok. – Wszystko wskazuje na to, że się wyrobimy. Poza tym nie zaszkodzi trzymać miejscowych z boku.

– Co wiemy o Entry, Jacques? – spytał Crozes.

Wysoki mężczyzna przygładził włosy.

– Niewiele, poruczniku. Główny przemysł to rybołówstwo. Coraz mniejsza populacja. Wszyscy anglojęzyczni. Niespełna stu mieszkańców.

– Minus jeden – zauważył Crozes, co wywołało stłumiony śmiech.

Sime spojrział na drugi rząd siedzeń i zobaczył rozbawienie na twarzy Marie-Ange. Krótkie kasztanowe włosy z blond pasemkami i szczupła wysportowana sylwetka nadawały jej chłopięcy wygląd, któremu przeczyły zielone oczy i pełne czerwone wargi, często odsłaniające w rozbrajającym uśmiechu białe zęby. Zauważyła, że się jej przygląda, i od razu spoważniała.

Odwrócił się z powrotem do okna i kiedy maszyna skrzyła w prawo i zaczęła schodzić do lądowania, poczuł, jak odtykają mu się uszy. Przez chwilę oślepił go błysk czerwonego słońca, odbijającego się w oceanie, a potem samolot skręcił znowu, on zaś po raz pierwszy zobaczył Wyspy Magdaleny. Sznureczek większych i mniejszych wysp połączonych groblami i piaszczystymi ławicami, leżący wzdłuż osi biegnącej od południowego zachodu na północny wschód. Dziwnym trafem archipelag miał kształt haczyka wędkarskiego i ciągnął się na długości około sześćdziesięciu kilometrów.

Kiedy zaczęli się zniżać ku pasowi startowemu na Île du Havre aux Maisons, pilot poinformował ich, że jeśli spojrzą w prawo, to po wschodniej stronie Baie de Plaisance zobaczą wyspę Entry.

Sime dostrzegł ją – widniała na tle wschodzącego słońca i ciągnęła się wzdłuż horyzontu, a jej dwa wzgórza przywodziły na myśl przewrócony posąg z Wyspy Wielkanocnej. Gubiła się niemal w porannej różowej mgłę, która unosiła się nad morzem. I zupełnie niespodziewanie poczuł na plecach dreszcz.

III

Sime, w oparach własnego oddechu, przytupywał na nabrzeżu, podczas gdy Lapointe wprowadzał minibusa na pokład promu *Ivan-Quinn*. Na dachu samochodu umieszczono pojemniki ze sprzętem i przymocowano je rzemieniami. Sime miał na sobie dżinsy, skórzane wysokie buty i bawełnianą kurtkę z kapturem; stał nieco z boku. Przypadkowy obserwator nie zauważyłby tego nieznacznego dystansu, ale jemu wydawało się, że od pozostałych dzieli go rów głęboki jak Wielki Kanion. I nie chodziło tylko o język. Zbliżył się Blanc, żeby poczęstować go papierosem. Nie zrobiłby tego, gdyby znał Sime'a lepiej, ten jednak doceniał życzliwy gest.

– Rzuciłem – wyjaśnił.

Blanc uśmiechnął się szeroko.

– Najprostszą rzecz pod słońcem.

Sime uniósł pytająco brwi.

– Naprawdę?

– Pewnie. Sam robiłem to setki razy.

Sime uśmiechnął się i patrzył przez chwilę w milczeniu, jak Lapointe wjeżdża na wąski pokład transportowy o szerokości dwóch wozów. Spojrzał na kolegę, który miał się zająć nagrywaniem przesłuchań. Blanc był od niego o jakieś piętnaście centymetrów niższy i ważył znacznie więcej. Miał

gęste czarne włosy i zaczątki łysiny na czubku głowy.

– Jak twój angielski? – spytał Sime.

Blanc zrobił kwaśną minę.

– Wszystko rozumiem, ale z mówieniem gorzej. – Wskazał portowe obwałowania. – Podobno ci wyspiarze nie chcą gadać po francusku. – Parsknął. – Dobrze, że to ty będziesz z nimi rozmawiał.

Sime skinął głową. Blanc miał siedzieć przy dwóch monitorach i magnetofonie na drugim końcu kabla w sąsiednim pomieszczeniu i robić notatki, a on prowadzić przesłuchania przed kamerą. W tych czasach nagrywało się wszystko.

Lapointe już zaparkował i wszyscy weszli po trapie załadowniczym i ruszyli wąziutkim korytarzem w stronę sali pasażerskiej w przedniej części promu. Sime ich przepuścił i wszedł po schodach na górny pokład; minął sterówkę i stanął na dziobie. Oparł się o reling pod wystrzępioną flagą z logo linii promowej i doliczył się trzech statków wycieczkowych zakotwiczonych przy różnych nabrzeżach.

Po kolejnych dziesięciu minutach prom wypłynął z portu, minął zewnętrzny falochron i sunął po morzu gładkim jak szklana tafla. I oto w dali, po drugiej stronie zatoki, ukazała się wyspa Entry; dopiero teraz słońce zaczęło wznosić się ponad ciemnymi porannymi chmurami na horyzoncie. Ten skrawek lądu przykuwał wzrok i uwagę Sime'a niemal hipnotycznie, podczas gdy refleksy promieni biegly ku niemu, jakby otaczając samą wyspę aureolą. Było w tym coś magicznego. Niemal mistycznego.

IV

Nikt z nich nie wiedział, czy na prom zawsze czekało

tylu ludzi, ale kiedy zakotwiczyli w porcie na wyspie Entry, na niewielkim wybrzeżu roіło się od samochodów i ciekawskich wyspiarzy. Przywitał ich sergeant enquęteur André Aucoin z Sųretę na Cap aux Meules. W średnim wieku, ale bez większego doświadczenia, był pod wrażeniem przyjazdu prawdziwych policjantów ze stałego łądu, ale jednocześnie cieszył się tą krótką chwilą chwały. Było to pierwsze morderstwo w jego karierze. Usiadł z przodu obok Lapointe'a i podczas jazdy wyboistymi drogami przekazywał im niezbędne informacje.

Kiedy minęli restaurację Briana Joseya i sklep ogólnospożywczy przy głównej ulicy miasteczka, wskazał skupisko budynków nad drogą.

– Stąd tego nie widać, ale jest tam pas startowy. Cowell miał własny jednosilnikowy samolot, którym latał na Havre aux Maisons i z powrotem. Stamtąd z kolei łatwo polecieć do Quebec City albo Montrealu na spotkania biznesowe. Na lotnisku trzymał range rovera.

– Czym się zajmował? – spytał Crozes.

– Homarami, poruczniku. – Aucoin parsknął śmiechem.

– Czym innym można się zajmować na tych wyspach?

Sime zauważył setki koszy na skorupiaki, piętrzące się pod drewnianymi domami pomalowanymi na żywe barwy i stodołami; oddalone od drogi budynki przycupnęły pośród pofalowanych zielonych pastwisk w głębi wyspy. Nie było drzew, tylko słupy telegraficzne pochylone pod dziwacznymi kątami i połączone obwisłymi przewodami. Późny pokos letniej trawy zaowocował licznymi belami siana o kolistym kształcie, które pstrzyły krajobraz, a w oddali widać było wieżę białego drewnianego kościoła; w żółtym świetle wczesnego dnia po zboczu zsuwały się długie cienie nagrobków.

– Cowell był właścicielem połowy kutrów na tych

wyspach. Zarabiał rocznie piętnaście milionów dolarów, nie wspominając już o należącej do niego przetrworni na Cap aux Meules.

– Pochodził stąd? – spytał Sime.

– Tu się urodził i wychował, w angielskojęzycznej społeczności na Old Harry, w północnej części archipelagu. Ale mówił dobrze po francusku. Nikt by się nie zorientował, że to nie jego ojczysty język.

– A żona?

– Kirsty to rodowita mieszkanka Entry. Nie rusza się stąd od dziesięciu lat, od kiedy ukończyła studia na Bishop's University w Lennoxville.

– Ani razu nie wyjechała? – W głosie Crozesa pobrzmiwało niedowierzanie.

– Tak mówią.

– Więc co się wydarzyło zeszłej nocy?

– Wygląda na to, że ona to zrobiła.

– Nie prosiłem o opinię, sierżancie. Tylko o fakty – przypomniał ostrym tonem Crozes.

Aucoin zaczerwienił się.

– Jak twierdzi Kirsty Cowell, do domu wtargnął intruz. Facet w kominiarce. Zaatakował ją. Jej mąż interweniował i został ugodzony nożem. Intruz uciekł. – Nie mógł ukryć swoich wątpliwości i znowu odwołał się do subiektywnej opinii. – Cholernie dziwne. Wiem, że jesteście specjalistami, ale tutaj, na wyspie, włamania się nie zdarzają. Od czasu gdy zlikwidowano połączenie lotnicze, można tu dotrzeć tylko promem albo prywatną łodzią. To niemożliwe, żeby ktoś wpłynął do portu i nikt tego nie zauważył. Jest jeszcze jedno nabrzeże, mała prywatna przystań, którą Cowell zbudował u podnóża klifu pod swoim domem, ale bywa tam niebezpiecznie z powodu prądów. Rzadko się z niej korzysta.

– A więc ktoś tutejszy – zauważył Sime.

Aucoin popatrzył na niego sarkastycznie.

– Albo bujna wyobraźnia pani Cowell.

Minęli latarnię morską po prawej i na zboczu skręcili w stronę domu Cowella. Większość domostw na wyspie miała tradycyjny charakter – drewniany szkielet, ściany kryte deskami szalunkowymi, strome spadziste dachy z gontem. Jaskrawe kolory, podstawowe: czerwony, zielony, niebieski, czasem, dla odmiany, jakiś odcień fioleto albo ochry; drzwi i ramy okien odcinające się bielą lub kanarkową żółcią. Trawniki były dobrze utrzymane. Lokalna tradycja, jak się zdawało, bo kilka razy mijali miejscowych z kosiarkami, korzystających z letniego słońca.

Dom Cowella wyróżniał się spośród pozostałych nie tylko pod względem wielkości, ale też charakteru. Nie pasował tu w jakiś sposób, niczym sztuczna choinka bożonarodzeniowa w lesie naturalnych sosen. Nie pasował do wyspy. Długi, pomalowany na żółto budynek kryty sidingiem i zwieńczony czerwonym dachem, przełamanym miejscami przez okna mansardowe, wieżyczki i wielkie łukowate okno. Kiedy skręcili w zwirowany podjazd od strony klifu, zobaczyli oranżerię, która przylegała niemal na całej długości do południowej ściany, naprzeciwko starannie wystrzyżonego trawnika i ogrodu, które biegło wzdłuż krawędzi urwiska.

– Cholernie duży dom – zauważył Lapointe.

Aucoin parsknął przez zaciśnięte usta, delektując się wyższością wynikającą z lokalnej wiedzy.

– Kiedyś to był kościół – wyjaśnił. – Z dzwonnicy. Stał na Havre Aubert. Cowell kazał podzielić go na trzy części i przewieźć na barkach sprowadzonych specjalnie z Quebec City. Złożyli budynek na klifach, a potem wykończyli w środku zgodnie z wymogami. Wnętrze zapiera dech w piersiach. Cowell zrobił to dla żony. Jak twierdzą sąsiedzi, nic nie było dla niej zbyt drogie albo zbyt dobre.